

Bukowiecka zofia

HENRYŚ SKOWRONEK

WSTĘP DO CZYTELNIKÓW.

Henryk Pestalozzi, o którym wspominał często w historii Henrysia Skowronka, urodził się w Szwajcarii r., a więc lat temu, jako syn ubogiego lekarza, który zmarł, kiedy Henryk był jeszcze dzieckiem. Wychowany przez słabowitą matkę, doznał nieraz biedy, to go też zapewne nauczyło rozumieć nędzę i sieroctwo innych dzieci. Razem z żoną pracował potem nad poprawą małych żebraków, brał ich do swego domu, wychowywał i przyzwyczajał do pracy. Pisał też Pestalozzi powiastki i piosenki, pisał zwłaszcza o tem, jak należy dzieci uczyć i że najlepszym nauczycielem jest wielka miłość dla wszystkich biedaków, którzy najczęściej dlatego źle robią, bo niema ich kto kierować ku dobremu. Rząd szwajcarski pomógł Pestalozzemu w założeniu wielkiego domu wy-

chowawczego dla dzieci żebraków, ale wybuchła wielka wojna, i zburzono mu jego szkołę. Nie zniechęcał się tem, po wojnie założył jeszcze większą, która stała się tak sławną, że różni uczeni i różni książęta panujący przyjeżdżali z całej Europy, żeby tę szkołę zwiedzać. Umarł Pestalozzi r., chociaż jednak od tak dawna nie żyje, imię jego staje się coraz głośniejszem, bo coraz więcej ludzi zaczyna rozumieć, że trzeba wszystkie ubogie dzieci uczyć pracy, wszystkim pomódz do zostania uczciwymi i cnotliwymi obywatelami ojczyzny. W Niemczech i Szwajcaryi powstało dużo szkół ludowych, które nazwano szkołami Pestalozzego dla uczczenia szlachetnego nauczyciela, ja także pragnę, aby nazwisko jego znane było w Polsce, szkoły założyć nie mogę, więc przynajmniej napisałam powiastkę o Henrysiu Skowronku, którego Henryk Pestalozzi, choć dawno już wtedy nie żył, nauczył swoim przykładem, jak trzeba pracować i jak żyć uczciwie. Powiastki tej nie wymyśliłam sama, czytałam kiedyś bardzo podobną i chciałam ją naśladować. Oby wam się podobała i zachęciła ubogie dzieci do wytrwania w dobrem!

Zofia Bukowiecka.

Była zima, jedna z tych srogich zim, które zostają długo w pamięci biedaków.

Listopad straszył przymrozkami, co będzie w grudniu i styczniu? Wiatr jeszcze nie wszystkie liście zdarł z drzew, a sadzawka w Saskim ogrodzie pokryła się już grubą skorupą lodu, i dorożkarze bili w ręce, bo zgrabiały im dłonie od zimna.

— Co będzie? co będzie? — pytali ze strachem biedacy.

Biedakiem, prawdziwym biedakiem był Jakób Skowronek, wyrobnik, ojciec pięciorga dzieci, z których najstarszy, Henryś, miał dopiero dziesięć lat, a wiek

najmłodszego w kołysce liczono na miesiące.

Pięcioro to liczna gromadka! pięć ust wyżywić, pięciu malcom sprawić ubranie —

trudna sprawa dla wyrobnika, który rzadko ma pewny zarobek, przytem Jakób,

wyznać to muszę ze wstydem, nie należał wcale do pracowitych i mało się

troszczył o swoich malców, a matka tych malców umarła.

Bóg wziął do siebie panią Skowronkową, żeby odpoczęła po pracy i trudach, ale

osierocona gromadka była od tego czasu bardzo opuszczona.

Bo matka najlepiej

dziecku dogodzi, nawet taka biedna matka. Skowronkowa posługiwała u bogatych

lokatorów, prała ich bieliznę, a za zarobione pieniądze kupiła zawsze trochę

kartofli lub kaszy, żeby mieć z czego ugotować dzieciom gorącej zupy na obiad.
Przytem myła i czesała swoich malców, łątała ich podarte sukienki, a dwoje najstarszych, Henrysia i Anusię, posyłała do szkółki, bo, choć sama nie umiała czytać wiedziała, że bez nauki źle ludziom na świecie.
Ale odkąd wyniesiono z suteryny trumnę Skowronkowej, nie było komu zadbać o opuszczone dzieciaki. -Jakób zarobione pieniądze przepijał z desperacyi w szynku, a głodni malcy zebrali chleba. Henryś i Anusia chodzili wprawdzie rano do szkoły, lecz przez resztę dnia włóczyli się razem z młodszą siostrzyczką, Ludwinią, po ulicach i wyciągali ręce, prosząc o jałmużnę. W suterynie zostawał tylko maleńki i jego opiekunka, trzyletnia Różia. Tak, Różia miała dopiero trzy lata, a nikt jej nie bawił, owszem, ona to musiała kołysać braciszka, ona także karmiła dziecko, to znaczy, że kładła mu w buzię woreczek, w którym był pokruszony chleb razowy. Maleńki krzywił się, wypychał języczkiem gałgan z ust, bo pamiętał, że mleko

matczynej piersi było daleko smaczniejsze, niż kwaśne, czarne okruchy..

Rózi przykrzyło się w mieszkaniu, nudno to spędzać dni przy kołysce maleńkiego,

który krzyczał, gdy bolał go brzusek. Przytem suteryna była bardzo zimna, w piecu nie palono wcale, Różia siedziała też całymi godzinami skurczona w kącie izdebki, a najchętniej wsuwała się, jak mały psiaczek, w siennik starszego rodzeństwa w słomie, gdzie było jej cieplej i zaciszniej. Dopiero wieczorem wracały do domu starsze dzieci Skowronka i dzieliły się między sobą kromkami chleba, wyżebranemi na mieście, a pieniądze, otrzymane z jałmużny, oddawały ojcu. Wyrobnik kupował bułkę chleba na śniadanie dla malców, sam zaś szedł do szynku, żeby przepić resztę groszy, nie dbając wcale o swoje sieroty. Najbiedniejsza z nich wszystkich była Anusia, kaszłała, bo zaziębiła się na ulicy, kuląła, bo odmroziła nogi, chodząc boso po bruku. Nie miała ani pończoch, ani trzewików, a choć owijała stopy gałganami, puchły one coraz bardziej. To też Anusia chodziła skrzywiona i smutna, nie lubiła szkoły, nie lubiła żebraniny, byłaby najchętniej włąziła na cały dzień do siennika, jak Różia, bo w sienniku odpoczęłyby jej nogi. Gorzej jeszcze działo się z młodszą siostrzyczką, Ludwiną. Ta miała zdrowe nogi, ale

za to bolały ją bardzo oczy, widziała tak mało, że musiała się trzymać ściany domów, żeby nie wpaść do rynsztoka. Ojciec powinien był zaprowadzić córkę do doktora. Jakób Skowronek nie myślał jednak o tem wcale, Ludwinia więc radziła sobie sama, zawiązywała oczy brudnym gałganem, co, iak wiadomo, nie jest dobrem lekarstwem na spuchnięte i czerwone powieki. W ubogiem gnieździe wyrobnika zdrowym i zadowolonym był tylko najstarszy Henryś. Cierpiał on biedę, jak i inni, ale zuch z natury, znosił chłód i głód, a nie tracił miny, bo tak czynić winni dzielni chłopcy. Henryś obiecał matce, że będzie chodził do szkoły, i dotrzymał słowa, jak przystało na prawdziwego obywatela, który zna swoją godność, uczył się nawet dobrze, chociaż książek pożyczać musiał od kolegów, ale resztę dnia spędzał na płataniu figłów i żebractwie. Nie przyszło mu nawet na myśl, że chłopiec dziesięcioletni może już pracować i pomagać młodszemu rodzeństwu zamiast wyciągać rękę na ulicy, jak stary dziad kaleka. Henryś nie lubił żebrać, wstydził się piszczeć i prosić o jałmużnę, ale pamiętał dobrze twardy ojcowski kułak, wiedział biedak nawet, jak kij smakuje, i z obawy przed kijem wyciągał chudą rączynę, żeby choć kilka groszy przynieść do domu.

Zdarzyło się raz, że, żebrząc tak, od drzwi do drzwi, wszedł Henryś do jakiejś kuchni, kie-

dy kucharka odcedzała garnek kartofli. Była miłosierna, a nie miała chleba pod ręką, rzuciła więc w czapkę chłopca sześć gorących ziemniaków, a on je porwał, schował pod kurtkę, żeby nie wystygły, i co tchu w piersiach pobiegł do domu.

Zdaleka już usłyszał płacz Rózi, próbowała ona wyjść na schody, bo w sienniku było zimno od wilgotnej ściany, po której płynęła woda. — Cicho, nie bucz! przyniosłem ci właśnie coś dobrego — zawołał Henryś. Chwycił dziewczynkę, sprowadził do suteryny i wetknął jej w rączki dwa gorące kartofle.

— Co to? co to? — pytała Rózia. — Ciepłe, o o o! jakie ciepłe! — powtarzała, śmiejąc się z radości. Przekładała

kartofle z rączki do rączki, dotykała niemi buzi, nawet skostniałych nóżek, umorusała je przytem porządnie, bo sama była czarna, jak murzynek. Dopiero kiedy wystygły, włożyła kartofle do ust i jadła je powoli, żeby nacieszyć się każdą okruszyną.

Henryś stanął tymczasem nad kołyską braciszka. Maleńki leżał na brudnej i podartej pościeli, a ta pościel, nigdy nie odmieniana, tak brzydko pachniała, że

trudno było przybliżyć do niej nos. Biedny najmłodszy Skowronek wyglądał też zupełnie, jak wyglądają maleńkie ptaszki, zanim porosną w piórka. Miał dużą głowę na bardzo chudej szyjce, chude rączki i nóżki, jak patyczki, a przytem duży brzuszek,

wydęty od chleba razowego. W takim brzuszku pokarm nie przerabia się na krew, to też maleńki był blady, a nawet żółty, zupełnie jak świeca woskowa w kościele.

Henryś nigdy jeszcze nie patrzył tak uważnie na braciszka, jak właśnie dziś, kiedy mógł mu dać trochę ciepłego pożywienia. Tulił chude rączki w swoich i rozgrzewał je, chuchając mocno, tak mocno, że aż poczerwieniał.

— Poczekaj, raku, dostaniesz i ty coś dobrego — pocieszał braciszka, który krzywił już usteczka do płaczu. Ale nie rozplakał się, o nie, bo Henryś roztarł kartofle między palcami i włożył w otwarty dziobek Skowronka ciepłą okruszynę.

— Ho, ho! taki bal to rozumiem! — myślał zapewne maleńki, któremu kwaśny woreczek z razowym chlebem nie mógł przecież smakować.

— Taki bal! taki bal! — zdawał się powtarzać, bo kręcił chudą szyjką z widocznym zadowoleniem i otwierał łakomie usteczka, zupełnie, jak pisklę, kiedy matka tłustą muchę przyniesie do

gniazda.

— Henlisiu, mój kochany Henlisiu, daj nam codzień golących kaltofli! — prosiła

Rózia, oblizując się z takim smakiem, że języczek zamiatał okruszyny z buzi aż do uchu.

— Gdybym je miał! — westchnął biedny opiekun rodzeństwa

— łatwiej już dostać kromkę chleba.

— Ale ja chcę golących kaltofli, takich golących, jak piec u klawca na górze.

Mój Henrysiu, mój dobry Henrysiu, popłoś bardzo o kaltofle, ci lóźni państwo, do któlych chodzisz, pewnie codzień gotują

kaltofle, niech nam dadzą, proś ich baldzo, powiedz, że Lózia chce kaltofli, że

Lózi i maleńkiemu zimno.

— Tere-fere, oni nie tylko kartofle jedzą. Gdybyś wiedziała, jak pachnie w ich

kuchniach! Raz buchnęła na schody para z wylanego na blachę sosu, mało nosa nie

zgubiłem, tak wachałem. Ale ty się na tem nie znasz, knocie.

— Znam się, właśnie, że się znam, weź mię z sobą, ja także wejde do kuchni, tam

musi być baldzo ładnie i baldzo ciepło, może cieplej, niż u pana Lacińskiego.

— Nie wezmę, jesteś jeszcze za mała, zmarzłabyś na ulicy, ale przestań buczyć i

zakołysz maleńkiego, żeby usnął. Mam w kabzie sześć groszy, pójdę na targ, kupię

furę kartofli, kulawa Jagusia ugotuje je w swoim garnku i będę miał czym nakarmić was wszystkich, chude smyki. Wybiegł pędem z suteryny, ale potem zwolnił kroku i szedł poważnie, jak przystoi człowiekowi, który ma zamiar żywić całą rodzinę. Niestety, kartofle były w tym roku bardzo drogie, bo zgniło ich wiele na polu od deszczów, za sześć groszy trudno kupić duży zapas, Henryś jednak nie stracił fantazyi, wytargował się

z przekupką i kupione ziemniaki zebrał w czapkę, żeby je zanieść Jagusi. Kulawa Jagusia była stara, chuda, mała, a mieszkała w niskim drewnianym domku, tuż obok suteryny Skowronków. Jagusia chodziła sama nad Wisłę, gdzie obrabiają drzewo, żeby przynieść trochę drzazeg do pieca, nie odmówiła jednak pomocy Henrysiowi, pożyczyła mu nawet garnka, bo w czapce nie mógł przecież ugotować kartofli. Umył je najprzód w wodzie, którą sam przyniósł z podwórza. Ziemniaki były zdrowe, wcale nie zmarznięte, Jagusia kręciła głową nad rozumem Henrysia, bo nie dał się oszukać przekupce. Teraz stał nad garnkiem i patrzył długo, bardzo długo. Nie nudziło mu się wcale to patrzenie. Na wodzie zaczęły się

pokazywać najprzód małe kulki powietrza, a potem jakby koła i zmarszczki. Raz wpadł do wody węgiel, wyjął go ostrożnie patyczkiem i rzucił w śmiecie, potem oblizał patyk, bo chciał się przekonać, czy czuć już w wodzie smak kartofli. Ale nie poczuł nic, woda nie zagotowała się jeszcze, tymczasem ogień przygasł, sięgnął nieśmiało po drzazgi, a patrzył z pod oka na starą, czy nie oberwie czasem kułaka, jak go dostawał tyle razy od ojca. Jagusia mruczała pod nosem, bo czuła, że będzie musiała zginać stare plecy, szukając drzazeg nad Wisłą, nie gniewała się jednak, pomogła nawet Henrysio-

wi przestawić garnek na fajerkę, z której zdjęła rynkę ze swoim obiadem. Zaczęły się na wodzie pokazywać coraz większe koła i fałdy, potem zabełkotało coś w garnku... — Gotuje się, gotuje! — krzyknął Henryś i chciał zdjąć garnek z ognia, żeby go zanieść do domu, ale Jagosia wyśmiała pana kucharza, bo kartofle były jeszcze surowe, należało czekać, aż zmiękną. Czekać, hm, nie jest to rzecz miła, nikt czekać nie lubi, Henryś czekał jednak, próbował tylko co chwila patyczkiem, czy kartofle jeszcze twarde, kosztował

wodę, mieszał w garnku, póki Jagusia nie powiedziała mu, że
czas już odcedzić
ziemniaki. Dobrze, że nie poparzył palców, tak się śpieszył z
tą robotą! Potem
przez wdzięczność za oddaną przysługę położył trzy
najpiękniejsze kartofle na
stole staruszki, resztę wsypał w połą kurtki i pobiegł ze swym
skarbem do domu.
Anusia i Ludwinia dzieliły się właśnie kawałkiem chleba
który wyżebrały na
mieście, kiedy Henryś wpadł, jak wichur, do suteryny.
— Zgadnijcie, co przynoszę, zgadnijcie, co mam gorącego!
Nie wierzycie, smyki,
to dotknijcie się ręką. A co, ciepłe, prawda? może jeszcze
spróbujesz i ty, i
ty! — krzyczał, biegając od jednej siostry do drugiej.
— To są moje kaltofle, moje ciepłe kaltofle, Henryś
ugotował dla mnie
kaltofli! — wo-

łała Różia i ciągnęła brata za ubranie. Ale on nie myślał oddać
jej całego
skarbu. Podzielił ziemniaki na cztery części, a dwa największe
schował do
kołyski braciszka. Maleńki spał już, dopiero więc jutro
skosztuje kaltofli,
reszta rodzeństwa zje zaraz swoje porcje.
Byłaż to radość, była! Skowronkowie od czterech miesięcy nie
jedli nic gorącego,
to też wszystkie trzy siostry rzuciły się na szyję Henrysiowi,
dziękując mu za

kolację, a Henryś, choć nadrabiał miną, choć wyśmiewał
panny i nazywał je
facetkami, sam poczuł łzy w oczach.
— Ach, gdybym mógł codzień przynieść im gorących kartofli
— myślał. Wiedział, że
nie będzie mógł, i dlatego posmutniał.
Wtem wszedł do suteryny ojciec, chwiał się na nogach i
potykał, dzieci
wiedziały, co to znaczy, wiedziały, że jest pijany, że bić je
będzie przy każdej
sposobności. Wystraszone, jak stado kuropatw, zbiły się w
kątku i przysiadły na
sienniku, żadne z nich nie biegło witać taty, jak on nie zagadał
do żadnego.
Jakób zapalił małą naftową lampkę, która stała na framudze
okna, bo stołu nie
było w suterynie, obejrzał się dookoła i wtedy dojrzał dzieci,
skulone pod
ścianą.
— Czemu tam stoicie? czyście przyklepione do muru? Czemu
nie oddajecie mi
pieniędzy? — Patrzył srogo, a mówił grubym, ochrypłym
głosem. Anusia zbliżyła
się pierwsza do ojca,

drżały jej ręce, kiedy wyjmowała z gałganka kilka
miedziaków, potem Ludwinia
oddala uzbierane grosze. Tylko Henryś nie ruszał się z
miejsca, był bardzo blady
i dygotał ze strachu.

— No, a ty, łobuzie, kiedyż nareszcie wy-leziesz z kąta? —
zawołał wyrobnik.

— Nie mam ani grosza, tatusiu — tłumaczył się Henryś
zaledwie dosłyszalnym
głosem.

Jakób podszedł go chłopca.

— Nie masz ani grosza! gdzież latałeś cały dzień? próżniak,
darmozjad, nie
użebrał ani trojaka, a skąd ja wezmę pieniędzy dla tych
smarkatych?

— Jadłyśmy już, tatusiu, nie jesteśmy głodne — wołały
przestraszone
dziewczyny, chciały choć obronić Henrysia.

Ale popsuły tylko jego sprawę.

— Nie jesteście głodne? a któż to karmi moje dzieci, kiedy
mnie tu niema?

— Henryś! — zawołały wszystkie trzy dziewczynki.

— Henryś upiekł wam szczura czy żabę? gadajcie mi ty
zaraz prawdę!

— Henryś ugotował nam kartofli, nie by go, tatusiu, on taki
dobry — prosiły
siostry.

Tego było za wiele na cierpliwość pijaka.

— Kartofle wam gotował, więc to tak, więc zamiast
żebrać, będziesz
tracił czas i pieniądze na kupowanie kartofli. Gzy nie
wiesz, że pieniądze
należą do mnie, że nie wolno ci
Henryś Skowronek.

ich marnować na zbytki. Gadaj zaraz ile dzisiaj zarobiłeś?

— Tylko sześć groszy, tatusiu — szlochał Henryś.

— Sześć groszy? Śmiesz tak kłamać, gdzie podziałeś resztę, pieniędzy?

— Nie kłamię, tatusiu, doprawdy nie kłamię, byłem na targu, potem gotowałem kartofle, nie miałem czasu, daruj, tatusiu, nie bij. nic gniewaj się, już nigdy...

Jakób groził pięściami, szarpał syna, ale nie wybił go tego wieczora. Spoglądał tylko raz po raz na kij, stojący przy drzwiach. Potem mrucał, sapał, zaglądał w każdy kąt suteryny, jakgdyby szukał tam kogo i, natrafiwszy na łóżko, padł na nie, jak długi.

Wystraszone dzieci stały jeszcze chwilę pod ścianą, dopiero, kiedy usłyszały, że ojciec chrapie, zabrały się i one do włożenia w siennik. Nic zdejmowały z siebie sukienek, ceremonia udawania się na spoczynek trwała w suterynie bardzo krótko.

Zagrzebane w zgniłej słomie, tuliły się do siebie biedne Skowronięta, jak zziębnięte ptaki, ogrzewając się jedno o drugie. Dziś jednak tylko Różia usnęła prędko, Anusia i Ludwinia obejmowały, płacząc, szyję brata, całowały jego twarz i ręce: jakże był dobrym dla nich, ileż sprawił im radości, a tatuś złajał go za to i omal nie obił! Chciały mu pieśczołą wynagrodzić strach przed ojcowskim kijem,

który Anusia postanowiła wyrzucić choćby za to miała być
karana, choćby nawet
głowę jej ucięto, wyrzuci kij — myślała, zasypiając.
Nazajutrz dzień był taki jasny, że nawet do suteryny zajrzało
trochę światła,
dzieci wyszły z siennika, ale musiały obejść się bez śniadania,
bo wyrobnik nie
kupił im chleba. Z ubieraniem też nie miały kłopotu, ptaki
czyszczą dziobkiem
swoje piórka, kapią je w rynnie, nasze Skowronięta nie znały
tego zwyczaju. Od
śmierci matki twarzyczki ich mył tylko deszcz i śnieg, a włosy
czesał wiatr.
Całe szczęście, że nie było w nich pierzy, bo nie sypiały na
poduszkach, źdźbła
słomy sterczały wprawdzie na czuprynach, ale te i palcami
szesać można.
Tego dnia ojciec wyszedł pierwszy z domu. Henryś mógł więc
swobodnie nakarmić
kartoflem maleńkiego, drugi oddał Rózi, a sam poszedł z
Anusią do szkoły. J
Ludwinia podreptała za nimi aż na ulicę, prędko jednak
została w tyle za
rodzeństwem, bo co krok potykała się o bruk. Była mała,
chuda, mizerna, jak
wszystkie Skowronięta, że zaś chore oczy dokuczały jej i
narażały na różne
wypadki, siadała najczęściej na schodach przed sklepami i
wyciągała rękę do
przechodniów, nie wiedząc, że to bardzo brzydko napierać się
ludziom o

pieniądze. Zebrała, gdyż nigdy nic innego robić jej nie
nauczono, Ludwinia nie
umiała się nawet bawić, dzieci z podwórka odpędzały od
siebie

niewidomą dziewczynkę, wypychały ją na ulicę, bo zawadzała
im w sieni.

Inaczej było z Henrysiem. Zdrow, silny, chociaż chowany o
głodzie i chłodzie,
zazdrościł chłopcom z warsztatów, którzy pracowali dzielnie i
wesoło, podczas
gdy on całymi godzinami stał beczynn timer na ulicy, wstydząc
się przechodniów, bo
musiał wyciągać do nich rękę. Stawał najchętniej blisko
księgarni, żeby choć zda
leka mózdz rzucić okiem na książki, wystawione za oknami.

Trzeba wam wiedzieć, że
Henryś

nad wszystko cenił książki, byłby je chciał
przeczytać od pierwszej do ostatniej. Elementarz swój umiał
już na pamięć, ale
prócz elementarza miał jeszcze własną bibliotekę, o której nie
wiedział nikt,
nawet Kozia, boć przed nią krył pod siennik tajemnicze
skarby.

Tak, pod siennik, proszę mi wierzyć. Dogodniej zapewne mieć
w swoim gabinecie
szafę biblioteczną, ale biblioteka Henrysia mieściła się
doskonale pod
siennikiem, były to bo wiem tylko kawałki gazet i różne
zadrukowane ćwiartki

papieru, które nasz mały przyjaciel zbierał po śmietnikach.
Nie tylko zbierał,
lecz i odczytywał wszystko, co zawierała jego biblioteka.
Najczęściej niewiele
rozumiał z wiadomości, jakie mu się przesyłabizować udało,
bo papiery były
udarte, bez początku i końca, nie tracił jednak nadziei, że
kiedyś nareszcie
dosta-

nie mu się do rąk prawdziwa książka najmniej pożądana
gazeta.
Jak sądzicie, czy spełnią się jego marzenia? Zobaczymy,
tymczasem w ów pamiętny
ranek Henryś był głodny, bo wyszedł z domu bez śniadania,
lekcye poszły dobrze,
ale żebrać fe! stracił zupełnie ochotę do takiego procederu i,
gdyby nie strach
przed kijem ojca, byłby wrócił do domu kołysać maleńkiego.
Wtem z bocznej ulicy wyjechały sanki, zaprzężone w parę
ślicznych koni.
Siedziała w sankach młoda okutana futerkiem panienska.
Konie się zatrzymały, ale
kręciły niecierpliwie głowami, przyczem dzwonki janczarów
tak raźnie dzwoniły
dzyn-dzyn-dzyn, że furman z trudnością mógł utrzymać
rumaki. Nie zsiadł więc z
kozła, tylko skinął ręką na Henrysia i kazał mu iść do sklepu
po cukier,
rodzenki i orzechy. Usłuchał chętnie, wziął z rąk panienski
sześć błyszczących

złotówek i zniknął za szklanymi drzwiami, chciał jak
najprędzej spełnić
polecenie, ale w sklepie czekało już dużo osób, musiał więc
długo stać razem z
innymi, zanim odważono towary, wsypano do torebek i
zawinięto w jeden wielki
arkusz papieru.

A panienska niecierpliwiła się tymczasem, furman mruczał, że
ulicznik gotów
zawsze porwać, co się da, i uciec, gdzie pieprz rośnie, ale
niesłusznie posądzał
biedaka bo w tej chwili właśnie Henryś wybiegł ze

warów i oddał paniencie dwadzieścia groszy reszty.
— Rozwiąż paczkę, sznurek i Len duży arkusz papieru
możesz zabrać dla siebie,
razem z dziesiątką, którą zarobiłeś za fatygę, torebki
zmieszczą się pojedynczo
w pudełku —• powiedziała panienska, potem kiwnęła
przyjaźnie główką Henrysiowi i
pojechała, a on pobiegł uszczęśliwiony do domu. Nie
potrzebował już dziś zebrać,
ojcu odda dziesiątkę, a arkusz, śliczny, duży. zadrukowany
arkusz, odczyta jak
najprędzej.

Rozłożył go na ziemi, przyjrzał się numerom stronic i
próbował je zebrać w jedną
całość. Opowiadanie zaczynało się od początku, litery były
wyraźne, to też
radość Henrysia nie znała granic, że jednak w suterynie było
już ciemno, zapalił

lampkę, postawił ją na framudze, sam kłękł przy oknie i czytał, co następuje.

ROZDZIAŁ .

Ojciec umiera, jego ostatnia prośba.

„Henryś Pestalozzi był wątłym, ale bardzo roztropnym dzieckiem”.

— Henryś! — zawołał Skowronek i przerwał czytanie, podobało mu się, że chłopczyk z książki ma to samo, co on, imię. Różia chcia-

ła go pytać o kartofle, nie zwracał jednak na nią uwagi, odchrząknął, poprawił

knot lampki, żeby świeciła jaśniej, i czytał dalej:

„Miał sześć lat, kiedy umarł mu ojciec, on i dwoje młodszego rodzeństwa zostali

pod opieką matki, która musiała pracować na wyżywienie dzieci, bo pieniędzy

biedny ojciec nie miał wcale. W pracy pomagała matce sługa, kochała ona

Henrysia, jego braciszka i siostrzyczkę, jak własne dzieci.

Nazywała się Babeli.

Ojciec, umierając, zawołał Babeli do swego łóżka, dziękował jej za wierną

służbę, a potem tak mówił: „Babeli, zaklinam cię, nie opuść nigdy mojej żony,

jak ja umrę, moje biedne dzieci zginą z nędzy”. Na to odpowiedziała dobra

Babeli: „Niech się pan doktor nie martwi zostanę przy pani i przy dzieciach, tak

mi, Hoże dopomóż, zostanę, póki mnie śmierć nie zawoła”.

Słowa dobrej Babeli

uspokoili ojca, zamknęły oczy na zawsze. To, co powiedziała Babeli, było szlachetne, a dotrzymała słowa, nie opuściła pani doktorowej aż do śmierci, taki zaś postępek jest jeszcze więcej wart, niż piękna obietnica". Na tem kończył się pierwszy rozdział. Henryś przestał czytać, historia o umierającym ojcu bardzo mu się podobała, zwłaszcza podobało mu się to, co zrobiła Babeli, byłby chciał tak postąpić, jak wierna służka. Nie

rozmyślał jednak długo, tylko zabrał się do drugiego rozdziału, a ten tytuł nosił:

DOBRA BABELI POMAGA MATCE W WYCHOWANIU DZIECI.

„Pani doktorowa Pestalozzi była dobrą matką, pracowała też pilnie dla swoich dzieci. Pomagała jej w tem wierna Babeli, przestrzegała, aby nic nie marnowało się w domu. Nie pozwalała wychowankom próżnować ani niszczyć sukienek i bucików, bo, jak mówiła, biedna mama pracuje od rana do nocy, a suknie nosi stare i wytarte. Babeli pozwalała dzieciom nosić w święto nowe ubranka, ale żądała, aby Henryś i jego młodsze rodzeństwo szanowali ładne sukienki, aby je trzepali "z kurzu i chowali do szuflady w komodzie. Dobra Babeli nie żałowała własnej pracy

dla swej pani..."

Wtem miejscu arkusz, zawierający tę ciekawą nadzwyczaj historię, był splamiony,

całe kilka wierszy zalała jakaś brzydka zielona farba.

Napróżno Skowronek

wytrzeszczał oczy, jak tylko mógł, napróżno przybliżył papier do lampki,

wszystko daremnie, musiał opuścić splamione wyrazy i czytać dalej o tem, że:

„Henryś Pestalozzi był nieuważny, a także nieporządny.

Babeli często go

przestrzegała: zawiąż trzewiki, popraw pończochy, utrzyj nos, nie mniej krawatki,

pozbić śmieci z podłogi. Ale rozsądek i powagę miał nad wiek..."

Plama, brzydka zielona plama zalewała znów koniec rozdziału, niepodobna było

czytać dalej, więc nasz Skowronek myślał tymczasem o wszystkim, czego się

dowiedział, a najwięcej o Babeli.

— Jaka ona była dobra, słusznie przestrzegała swoich wychowañców, czemuż mieli

niszczyć ładne ubranka. I jabym oszczędzał nową bluzkę. Tu stoi napisane, że

Henryś był nieporządny, musiano mu przypominać o ucieraniu nosa, o zawiązywaniu

trzewików, krawatki. A ja czy także jestem nieporządny?

Trzewików wiązać nie

potrzebuję, bo noszę stare buty księdza wikarego, a krawatki nie mam wcale.

Nieporządny! prawdę mówiąc, mógłbym wytrzepać kurtkę,
pełno na niej błota i
słomy. Widziałem przecież, jak lokaj z drugiego piętra trzepie
surdut swego
pana. Ale mniejsza o to, wolę czytać dalej...

I Skowronek czytał co następuje:

ROZDZIAŁ III.

Pobożny dziadunio uczy Henrysia, jak być cnotliwym.
„Henryś Pestalozzi miał już dziewięć lat, jego matka była
zawsze biedna, uczyć
go sama nie mogła, ale posyłała syna do szkoły, a na

wakacye do dziadzi, i Henryś cieszył się z tego, bo jego
dziadzio był to bardzo
dobry staruszek. Rozmawiał z wnukiem, mówił mu o Bogu, o
tem, że trzeba pracować
i kochać bliźnich, że dziecko powinno żyć pod opieką dobrych
ludzi, żeby wyrósć
na prawdziwego chrześcijanina".
Skowronek zamyślił się i nie czytał już dalej. Ostatnie słowa
były i wydrukowane
większemi literami. Nauczyciel podkreślał tak zdania, których
się uczyć każe na
pamięć, musi to więc być ważne. Ten dziadzio był prawdziwie
dobrym człowiekiem,
czemuż my nie mamy takiego dziadzi, myślało dziecko. A czy
mój ojciec jest
dobry? na ulicy wszyscy nazywają go pijakiem. W szkole
mówił nauczyciel, że
trzeba być pobożnym i pełnić wolę Hożą. Biedny ojciec! on
może nie wie. co

trzeba robić, żeby być pobożnym, ja także nie wiem.
Chciałbym pełnić wolę Bożą,
ale jak? Może powinienem myć się porządnie, czyścić kurtkę i
zamiatać suterynę,
kiedy Henrysia Pestalozzega uczyła tego dobra Babeli.
Skowronek chciał dalej czytać, ale w opowiadaniu była duża
przerwa, brakowało
zapewne kilku rozdziałów. Nie znalazł już ani słowa o pani
doktorowej, ani o
wiernej Babeli, za to dowiedział się, że Henryk Pestalozzi
wyrósł na bardzo
szlachetnego człowieka, że cały świat zna jego nazwisko.
Wychowywał on biedne
dzieci, dom swój zamienił na dom sierot, a z każ-

dego, nawet z najgorszego wisusa umiał zrobić uczciwego
człowieka, bo każdego
biedaka kochał i kochaniem swoim poprawiał.
— Dobry, poczciwy Henryś— zawołał Skowronek i pobiegł
naprzeciwko Anusi, która
razem z Ludwiną schodziła właśnie ze schodów. Opowiedział
siostrom, jaką
śliczną przeczytał historię, jak to Henryk Pestalozzi brał do
siebie biedne
dzieci, jak je karmił i uczył.
— Szkoda, że nas nie znał ten dobry pan — westchnęła
Anusia, a Ludwinia dodała
zaraz — pewnie zlitowałyby się nad moimi oczami.
— A może onby potłafił ugotować nam kaltofle!— zawołała
Różia.

Ale Henryś nie zwracał uwagi na słowa sióstr, myślał o przeczytanej historii.

— Trzeba modlić się i pracować, toż samo mówiła matka — wyrzekł nakoniec z powagą.

— Cóż z tego, że mama tak mówiła, kiedy my nie pracujemy — westchnęła znów

Anusia, a Ludwinia dodała zaraz:

— Ja się już nawet nie modlę, bo zapomniałam, jak to dalej po „chleba naszego”.

— A ja chcę kaltofli, płóście Boga o kaltofle — zaczęła krzyczeć Rózia, ale przycichła. bo właśnie w tej chwili wszedł do suteryny ojciec. Nie zataczał się, nie był pijany, dzieci oddały mu wszystkie pieniądze, jakie miały w kie-

szonkach, było tego, z dziesiątką Henrysia aż groszy, poszedł więc zaraz do szynku, wprzód jednak zadmuchnął lampkę, żeby, jak mówił, nie marnować pieniędzy na naftę.

Cóż miały robić biedne Skowronki, pozostawione same w ciemności? Henryś byłby chętnie przeczytał siostrom opowiadanie o życiu Pestalozzego, musiał się jednak wyrzec tej przyjemności, i po chwili wszystko czworo chrapali już w sienniku.

Za to nazajutrz wstali raniej, niż zazwyczaj. Ojciec kupił im chleba na

śniadanie i rozkazał pilnie, żeby dużo przynieśli groszy, potem pierwszy wyszedł z suteryny.

— Żebrać! nie chcę żebrać! — zawołał Henryś. — Wolałbym najciężej pracować, niż łązić z ulicy w ulicę.

— Więc nie chodźmy nigdzie, ja nie mam siły kroku postąpić — skarżyła się Anusia.

— Zostańcie, zostańcie — wołała Rózia — będziecie się bawili ze mną w chowanego.

Henryś jednak zabierał się do wyjścia. Czuł, że źle robi, żebrząc, ale czuł i to, że było jego obowiązkiem słuchać ojca i dbać o chleb dla rodzeństwa.

On, taki zawsze wesoły, nie żartował dziś z siostrami, nie wymyślał dla nich śmiesznych konceptów. Schował pod siennik arkusz z historią Pestalozzego, a sam stanął przy kołysce braciszka.

Zawsze, wychodząc z suteryny, całował maleńkiego w buzię, dziś wydał mu się on taki mizerny, taki chudy, że wziął dziecko na ręce i myślał, co Pestalozzi zrobiłby na jego miejscu, czy potrafiłby uratować braciszka od śmierci? Bo biedny Henryś rozumiał doskonale, że z maleńkim jest źle, nawet bardzo źle. Widział już tyle trumienek, wynoszonych z suteryny!

Zakrztusił się, coś go ścisnęło za gardło, 'przetarł oczy, żeby
nie beczyć
napróżno, a potem kazał siostronom iść na ulicę, sam zaś sięgnął
do swej
biblioteki pod siennik. Szukał długo między papierami, pokąd
nie znalazł starej
gazety, którą raz już czytał. Rozprostował zmięty papier,
pamiętał doskonale, co
tam było napisane, ale pomimo to powtórzył sobie raz jeszcze
przepisy o
wychowywaniu maleńkich dzieci. Jakiś doktor takie dawał
rady:
„Dzieci chorują często dlatego, że mają za mało świeżego
powietrza i że nie są
czyste. Dziecko powinno być myte codzień, codzień też
powinno zmieniać koszulę.
Pokój, w którym śpią dzieci, powinien być wietrzony, a malcy
wynoszeni na
powietrze. Pościel w kołysce bywa przyczyną choroby, jeśli
jest brudna i
wilgotna. Najzdrowszem pożywieniem dla małych dzieci jest
mleko, mogą one także
jeść rozmoczoną bułkę w mleku albo kaszkę z mlekiem".
Dalej nie było już nic, ale nawet i to,

co przeczytał, dało Henrysiowi dużo do myślenia.
— Będę cię codzień mył, braciszku, co zaś do pościeli?
Śmierdzi, nie dziwię się
temu panu, który wczoraj uchylił do nas drzwi i zamiast
powiedzieć, po co

przychodzi, krzyczał na stróża za brud w suterynie. Ale od
dzisiejszego dnia
będzie tu inaczej, przede wszystkim trzeba otwierać okno,
podwórze wprawdzie nie
pachnie, zawsze jednak lepsze tam powietrze, niż w suterynie.
Doktor każe
codzień zmieniać koszulę, cóż, kiedy maleńki ma tylko jedną,
i to podartą —
myślał Henryś, że zaś nigdy nie tracił fantazyi, postanowił
uprać koszulę
braciszka, a tymczasem umyć go przynajmniej.
Ale skąd wziąć ciepłej wody, bo ta z dzbanka była zimna dla
małego robaczka.
Pewnie, że zimna, przecież wiecie już, że w suterynie nie
palono wcale. Biedny
Henryś musiał położyć maleńkiego do tej samej brudnej
pościeli, nie stracił
jednak fantazyi.
— Czemu nie miałbym potrafić tego, co potrafił Henryk
Pestalozzi? — myślał,
wychodząc z sutereny. Czuł, że zaszła w nim dziwna zmiana;
dotąd mało
zastanawiał się nad sobą i swoje im rodzeństwem, w głowie
miał tylko figle, a
czasem ochotę do książek, kiedy je zobaczył za szybami
wystaw. Ale od
przeczytania historii Pestalozzowego widział i rozumiał to, na co
wprzód nie
zwracał wcale uwagi, zupełnie jak-

gdyby kto zdjął z jego oczów i z duszy zasłonę. Z oczów, bo nie podobał mu się bród i smród w suterenie, z duszy, bo zrozumiał, że żebrać i próżnować to największy wstyd.

Poszedł do szkoły, a potem do kościoła, klęknął przed ołtarzem i zawołał z całego serca:

— Boże, naucz mnie, co mam robić, żeby nie żebrać i żeby dostać pieniędzy dla tatusia! Ojciec nasz, któryś jest w niebie! — powtarzał, miał łzy w oczach, ale nie płakał, owszem, zrobiło mu się rażno na sercu, bo poczuł, że Ojciec, do którego wołał, wysłucha modlitwy dobrego i dzielnego chłopca.

Szedł potem znanymi ulicami, zabiegał do podwórzy, gdzie najczęściej dostawał jałmużnę.

Zaleciał go zupach mydła. W oknach parterowego domku prasowaczki dosuszały sztywne gorsy koszul, a dalej na rozstawionych baliach kilka kobiet prało bieliznę.

— Czy nie mógłbym pomódz w robocie? — pytał nieśmiało Henryś.

— Pomoc przyda się zawsze, bierz kubełek i wynoś mydliny na podwórze — zawołała rumiana dziewczyna, która nieraz już dzieliła się chlebem z Henrysiem.

Chwycił wiadro, zlał mydliny z balii, opłukał ją czystą wodą i wyniósł wiadro na podwórze, podjął się nawet cięższej roboty, wydzwignął

aż na strych koszyk z upraną bielizną i pomógł ją rozwiesić. Praczka poklepała chłopca po ramieniu, a w nagrodę pracy dała mu sporo grochu, który został od wczorajszego obiadu.

— Możeby pani pozwoliła zostawić groch w garnku do wieczora, tu się ciągle pali, byłby ciepły, a teraz sióstr niema w domu, przyszedłbym zabrać go o zmroku.

— Dobrze, niech stoi, bielizny jest dużo, prać będziemy do późnej nocy, możesz przyjść, kiedy zechcesz.

Ale Henryś nie odchodził; pocałował praczkę w rękę i stał we drzwiach, a czapkę obracał i miał w palcach.

— Czegóż ty czekasz? — zapytała zdziwiona praczka.

— Chciałem prosić o...

— Nie proś darmo, grosza dziś nie dostaniesz.

— Ja też nie o pieniądze, nie o grosz, tylko o mydliny proszę.

— Mydliny? — dziwiła się pani Józefowa, właścicielka pralni.

— Tak, proszę pani, tu wylewają takie śliczne mydliny, a ja uprałbym w nich koszulkę braciszka.

— A gdzieżbyś ją wyprał?

— Prawda! gdzieżbym ją wyprał, może tu? — powiedział Henryś, nieśmiało patrząc na

praczki, które się życzliwie do niego uśmiechnęły. Wziął to za przyzwolenie i, nie czekając dłużej, biegł znów ulicą, bo przypomniał sobie kij ojca. Trzeba było zarobić choć kilka groszy, inaczej będą sińce na plecach. Po drodze spotkał kominiarczyka, nie był większy od niego. — Mógłbym i ja wycierać kominy zamiast żebrać — pomyślał, ale przypomniał sobie zaraz, że Pestalozzi zaleca czystość, a kominiarze bywają zazwyczaj brudni od sadzy. Zawrócił więc w podwórze, na które wjeżdżał wóz z drzewem. Jakiś porządnie ubrany mężczyzna stał przy furze i pytał stróża, ktoby mógł mu drzewo znieść do piwnicy. — Ot, daje Bóg zarobek — pomyślał Henryś i nie czekając ani chwili, chwycił z wozu ciężką łupę, gotów nieść ją, gdzie każą. Że zaś przytem uśmiechnął się pocziwie, grzecznie, zdjął czapeczkę, więc nie odmówiono dobremu dziecku pracy. Nosił drzewo aż do zmroku, ułożył je porządnie w piwnicy, dostał za to dwadzieścia groszy i duży kawałek chleba. Jakże czuł się szczęśliwy! tyle pieniędzy, i to zarobionych, nie wyżebranych. Dzielną miał minę, dzwonił dziesiątkami w kieszeni, a głowę zadzierał wysoko: fiu! fiu! Prędko jednak przypomniał sobie, że czeka go dziś jeszcze dużo roboty. Pobiegł co tchu do domu, w suterynie nie zastał nikogo, prócz

Rózi i maleńkiego. Otworzył okno, a sam wyjrzał na korytarz,
leżała tam wczoraj
stara miotła, którą krawiec wyrzucił z mieszkania. Trudna to
sprawa zamieść
wilgotną, nigdy nie sprzątaną suterynę, ale Henryś zabrał się z
ochotą do
roboty. Szach, mach! póty skrobał w prawo, w lewo, aż
oczyścił wszystkie kąty ze
śmieci i słomy.
Zamknął okno, ściągnął z ojcowskiego łóżka worek, w którym
matka przynosiła
dawniej kartofle, rozebrał maleńkiego z koszuli i okręcił go
workiem. Siostry
nadeszły właśnie, kazał im pościągać bieliznę, sam też zdjął
swoją, potem na
gołe ciało włożył ubranie, oddał Anusi groszy dla ojca,
zarzucił pięć koszul
na ramię i pobiegł do pralni.
Przywitano go tam śmiechem: chłopak, który sam pierze? nie
widziały nigdy
pracza, że też nie wstydzi się babskiej roboty — żartowały
dziewczyny, ale dały
mydlin i pożyczyły cebrzyka. Robota szła z początku
niezręcznie; pokonał jednak
wkrótce wszystkie trudności, wyprał bieliznę do czysta, a pani
Józefowa
pozwoliła mu powiesić ją w kuchni, to prędzej wyschnie, dała
garnek z gorącym
grochem i kazała przychodzić co sobota do pralni, żeby
Skowronięta mogły w każdą

niedzielę włożyć czyste koszule.

Oj! rad był Henryś, rad, szczęśliwy, szczęśliwszy może od króla, bo nie każdemu królo-

wi uda się dokonać tego, co postanowił, a on w dodatku niósł siostrom garnek z grochem.

Drugi to już raz uczętuje rodzeństwo ciepłą kolacją. Starsze dziewczynki zapomniały oddawna, jak groch wygląda, a Różia nie знаła go wcale.

— Śliczne żółte kulki, jak pachną, jakie ciepłe! — wołała, klaszcząc w rączki i grzejąc je na garnku.

Wspaniałą ucztę, ucztę, co się zowie, wyprawił brat siostrom. Jedli groch wolno, ciesząc buzię przysmakiem, a gdy zostało już tylko trochę

ziarnek, a oni byli jeszcze głodni, rozsmarowali je na chlebie. Wyborny pomysł,

zareczam, kromki wyglądały, jak wyglądają wasze podwieczorki, kiedy zamiast masłem niania chleb smaruje miodem.

Skowroniętom nikt nie smarował chleba, zajadali stare wyżebrane kawałki razowca, to też dzisiejsza ucztą na długo została w pamięci rodzeństwa.

Nazajutrz, ledwo świt, pobiegł Henryś do pralni po koszule.

Były czyste i suche,

ale twarde, z powykrzywianymi rękawami, dopiero po zmaglowaniu okazały się białe i miękkie.

— Jakże się siostry ucieszą! — zawołał i pobiegł już do
suteryny, kiedy nagle
przyszła mu nowa myśl. Zawrócił z sieni, żeby poprosić o
trochę ciepłych mydlin.
Nalano mu ich do

garnka, były białe, z białą czapką piany na wierzchu.
— Umyjemy się w nich wszyscy, umyję maleńkiego, a potem
dopiero włożę mu czystą
koszulkę — tłumaczył Henryś swój postępek przed
praczkami. Śmiały się i kiwały
głową nad rozumem chłopca, a on biegł tymczasem do domu,
niosąc w jednej ręce
garnek z mydlinami, a na drugiej pęk czystych koszul. Dzieci
leżały jeszcze
zagrzebane w słomie, Henryś wyciągnął je z siennika i kazał
siostronom szorować
się mydlinami.
Jakże chętnie usłuchały rozkazu brata, mydliny były ciepłe, a
ich rączki
kostniały od zimna. Zanurzały je w garnku, a potem, jak kotki,
myły łapkami
buzie, uśmiechnięte, wesołe buzie. Henryś dawno takich nie
widział, czuł zaś, że
to on, nikt inny, tylko on, sprawił im tę radość.
Był przytem sam bardzo zajęty, bo należało z kolei pomyśleć
o maleńkim. Wyszukał
gałganka między śmieciami na śmietniku; umaczał go w
mydlinach i umył braciszka
od stóp do głowy. Dziecko krzywiło buzię do płaczu, kiedy je
wyjmował z worka,

ale ciepło mydlin wróciło mu dobry humor. Wyprężył rączki,
fikał nóżkami, wołał
nawet: bzu, bzu, bzu, co miało znaczyć, że bardzo lubi myć się
w ciepłej wodzie
i że kocha Henrysia.
Bo któżby takiego brata nie kochał?

Po umyciu przyszła kolej na kładzenie czystych koszul. Nowe
wykrzyki radości!
Dzieci chwyciły się za ręce i tańczyły, śpiewając, nawet
Anusia była wesola.
Tymczasem wybiła dziewiąta, i należało śpieszyć do szkoły,
Henryś zdążył jednak
jeszcze przedtem otworzyć okno i przewietrzyć suterynę, a po
skończonych
lekcjach wrócił natychmiast do domu, wyjął maleńkiego z
kołyski, okręcił w worek
i zaniósł na słoneczną stronę ulicy. Dziecina zdawała się
cieszyć przechadzką,
Różia została w sieni domu, bo bosa nóżki nie pozwoliły na
dalszy spacer, a
Henryś skręcił tymczasem na znane sobie podwórze, wiedział,
że jest w tym domu
mleczarnia i że właścicielka jej nie odmówiła mu nigdy
kromki chleba.
— Może nie odmówi mleka braciszкови?— pomyślał.
Był to właśnie czas udoju, dziewczka w oborze zlewała mleko
do skopka, a trzy duże
krowy stały przywiązane do żłobu. Pierwsza z brzega,
graniasta, obejrzała się na
drzwi i zaryczała, jakgdyby zapraszała Henrysia do obory.

— Poczciwe bydlatko! — pomyślał. Stał na progu, patrząc, jak mleko z wymion spadało do skopka.

Pani Broska знаła i lubiła Henrysia, uśmiechnęła się do niego życzliwie, obiecując dać kawałek chleba po skończonym udoju.

— Ja nic przyszedłem żebrać, ja nie przyszedłem po chleb.

— Czegoż więc chcesz, dziecko?

— Roboty, może znalazłaby się tu jaka, chcę pracować, bo wiem, że żebrać to grzech.

— Roboty nigdy u mnie nic braknie. Gnój dotąd leży pod krowami, Magdzie trudno nastarczyć z roznoszeniem mleka. Ale gnój wyrzuca się o piątej rano, przed pierwszym udojem, a ty pewnie lubisz długo spać.

— Przyjdę, proszę pani, zaraz jutro o piątej. — A cóż ja ci dam za tę robotę?

— Prosiłbym o trochę mleka dla maleńkiego. Będę przychodził z nim codzień do południowego udoju, mógłby się napić ciepłego mleka, jest taki chudy i blady.

Dziecko, owinięte w worek, było istotnie okropnie mizerne.

Pani Broska

westchnęła, zdjęła z pułki garnuszek, nalała go mlekiem i podała Henrysiowi.

Jakże był szczęśliwy! Przysiadł w progu obory i napił braciszka. Dzieciak wypił

wszystko, a krzyczał jeszcze o drugą porcję. Krzyczał tak głośno, że jakiś pan,

który przechodził właśnie przez podwórze, przystanął i zapytał o przyczynę wrzasku.

— Dałem braciszкови mleka, a on chciałby więcej.

— Więcej nie dawaj, dziecko jest zagłodzone, ma już suchoty, umrze pewnie na wio-

sne, trzeba ostrożnie je karmić, bo może łatwo dostać boleści.

— Umrze? co też pan mówi, przecież ja mu teraz będę mógł codzień dać mleka.

— To go nie uratuje. Choć kto wie? Najlepiej przenieś dziecko do obory, będzie mu ciepło przynajmniej. Życzę ci, aby malec wygrzebał się z biedy — dodał i wyszedł z podwórza na ulicę.

— Tak, tu byłoby dobrze maleńkiemu, ciepło, sucha słoma, jak ta pod

krowami, a nie mokry gnój w kołysce. Tu byłoby dobrze — powtarzał Henryś

i patrzył zakłopotany na panią Broską.

Zobaczył, że ma łzy w oczach, nie odmawia. Przyskoczył i ucałował jej rękę.

Porozumieli się bez próżnych słów. Tak zwykli czynić dobrzy ludzie.

— Chodź, zrobimy dziecku posianie w oborze — powiedziała pani Broska.

Przyniosła żłobek, który wprzód służył cielętom, ustawiła go w zacisznym kącie

obory, nasłała świeżego siana i położyła na nim maleńkiego.

— Niech dzieciątko Jezus czuwa nad tobą, ono takie samo miało posłanie —
powiedziała, całując sierotkę.

A Henryś?

Henryś obiecywał sobie pracować dzielnie dla dobrej pani,
potem pożegnał
braciszka i po-

biegł do domu opowiedzieć siostronom o teru, co się stało.
Nawet Jakób Skowronek, choć obojętny zazwyczaj na sprawy,
dotyczące jego dzieci,
pochwalił dziś Henrysia, że tak szczęśliwie umieścił
maleńkiego i, wychodząc, po
południowym odpoczynku, obiecał podziękować pani
Broskiej za litość nad synem.
Wyrobnik był rozczulony, głaskał główki córek, a syna
nazwał zuchem. Ale czy
wieczorem nie zażąda pieniędzy, czy nie porwie za kij, jeśli
dzieci wrócą do
suteryny bez jałmużny?
Oto nad czym myślał Henryś. Nie miał ani grosza w kieszeni,
a żebrać nie chciał,
bo spróbował, jak miło jeść chleb, który zarobiliśmy własnymi
rękami.

— Wynajdźmy sobie zarobek, Anusiu. Henryk Pestalozzi i
nasz nauczyciel mówią,
że trzeba pracować. Musimy mieć pieniądze dla ojca, ale nie
z jałmużny, już mi
ona obrzydła. Największy sęk z Ludwinia, ja sobie poradzę,
a ty mogłabyś szyc
lalki na sprzedaż.

— Skądże wezmę gałgankówV

— O, wielka rzecz! mało ich to wyrzuca pan Łaciński na korytarz, pójdę, poproszę...

— Choćbym miała gałganki, to gdzież będę szyła lalki, kiedy w suterynie ciemno i ręce posztywniały mi od zimna, jak kołki. Henryś podrapał się w głowę.

— Może kulawa Jagusia pozwoli ci siedzieć w swojej stancyi?

— Jagusia może i pozwoli, ale ojciec bić mnie będzie, jak mu nie przyniosę, pieniędzy.

Henryś znów podrapał się w głowę, z większym, niż wprzód, zakłopotaniem, gdyż

rozumiał, że najtrudniej było zaspokoić wymagania ojca.

— Ja szyć nie mogę, bo już prawie nic nie widzę, będę więc zebrać i

tom, co uzbieram, podzielę się z Anusią.

— Ludwisia ma słuszność, tak będzie najlepiej — zawołał Henryś i, nie

oglądając się na siostry, poszedł natychmiast do krawca po gałganki.

Pan Łaciński był bardzo dobrym człowiekiem, mieszkał razem ze starą matką w

dwóch pokoikach od podwórza. Znał Henrysia, oddawał on mu nieraz różne posługi,

to też chłopczyzna zbliżył się śmiało do stołu, przy którym pracował pan majster.

— Przeszedłem prosić o kolorowe gałganki dla siostry,
będzie niedługo
gwiazdka, Anusia mogłaby naszyć lalek, a ja je sprzedam za
Żelazną bramą.

— Możesz pozbierać skrawki, które leżą na ziemi, jest ich
sporo i za
szalą, ale czy Anusia umie szyć? Powinnaby umieć, bo jest
już duża
dziewczyzna, lecz wy wolicie włóczyć się po ulicach, jak
cyganie.
Henryś zaczerwienił się po same uszy.

— Tak, byliśmy dotąd próżniakami, od dziś jednak zaczniemy
pracować. Ja dawno
wstydzilem się zebrać, tylko nie mogłem jeszcze tego dobrze
zrozumieć. Dopiero
Henryk Pestalozzi nauczył mnie, że trzeba modlić się i
pracować.

— Henryk Pestalozzi, któż to taki? nie znam tego pana.

— Ja także nie wiem, kto on jest.

— Gdzież go widziałeś?

— Nigdy nie widziałem Henryka Pestalozzowego.

— Jakże więc mógł ci kazać pracować, jeśli go nie widziałeś?

— Powiedział mi to na arkuszu.

— Pleciesz, masz chyba gorączkę!

— Nie, proszę pana majstra, wszystko, co mówiłem, stoi
wydrukowane na arkuszu,
który dostałem od jednej pani.

— Tak gadaj. Więc poprostu przeczytałeś z arkusza, że trzeba
pracować, nie

żebrać. Ale przecież to samo mówił ci pewnie nauczyciel w szkółce.

— Nauczyciel słucha nas tylko lekcyi, a na mnie i na siostrę gniewa się, że nie mamy innej książki, prócz elementarza. Pewnie nieraz mówił, żeby pracować, ale jakoś nic myślałem o tem.

— Dlaczegoż więc zrozumiałeś teraz obowiązek pracy?

Henryś się zamyślił.

— Ja nie wiem, proszę pana, ale mnie się zdaje, że to nie arkusz, że to Bóg otworzył mi oczy do zrozumienia tego, czego nie rozumiałem dotąd. Kiedy czytałem arkusz, uczułem w sercu radość i mam tę radość ciągle, chociaż jestem głodny i moje siostry też. Dlatego myślę, że to Bóg przez ten arkusz pokazał mi, jak złem jest próżniactwo i żebractwo.

— Masz słuszność, chłopcze, Bóg otworzył ci oczy — zawołał krawiec, przecierając wilgotne okulary. — Idź po siostrę, przyprowadź ją tu, dam jej gałganków i nauczę, jak trzeba je zszywać.

Henryś jednym susem był już na schodach do suteryny, przyprowadził Anusię, sam zaś pobiegł na miasto za zarobkiem.

— Mówił mi twój brat, że chcesz szyć lalki, a miałaś ty kiedy igłę w ręku?—

zapytał pan Łaciński, spoglądając życzliwie na wynędzniałą i smutną dziewczynkę.

— Nie szylałam nigdy od śmierci mamy — odpowiedziała Anusia — ale chciałabym bardzo umieć szyć, bo nie mam siły chodzić za żebraniem. Na ulicy jest tak zimno! będę prosiła kulawej Jagusi, aby mi pozwoliła szyć w swojej kuchni.
— Nie chodź do Jagusi, możesz zostać u mnie, jak będziesz chętna i pilna, zrobię cię swoim pomocnikiem. Miałem terminatora, wy-

pędziłem go, bo był urwis i próżniak, spróbuję, czy nie większy pożytek z dziewczyny. Szwy rozszywać nauczysz się prędko, jeśli będziesz uważna i posłuszna, dam ci jeść, a nawet dołożę coś grosza. Masz igłę i nitkę, zszyj te dwa kawałki sukna, obejrzyj moją robotę, ścieg jest równy i prosty, staraj się szyć, jak ja.

Takie rady i napomnienia dawał Anusi pan Łaciński, my zobaczymy, co tymczasem robił Henryś. Dziej) był pochmurny, chwilami mżył drobny deszcz, on nie czuł jednak zimna, owszem, świat wydawał mu się słonecznym i pięknym, bo promieniał szczęściem.

— Maleńki wyzdrowieje, Anusia nauczy się szyć — myślał i omal nie skakał z radości. — Zapracuje na chleb, na buty, kupi ciepłą sukienkę dla Rózi, byle znaleźć zarobek.

Ale nie trafiała mu się dziś żadna robota. Dopiero, kiedy skręcił ku mostowi, dojrzał zdaleka, że od strony Pragi rąbią lód na Wiśle i ładują go na wozy. Ciężka to i przykra praca, zwłaszcza dla tych, którzy w dziurawych butach stać muszą na śniegu. Buty Henrysia oddawna były dziurawe, wołały pić, to znaczy otwierały skórzane przyszczepki, jak ryba otwiera szczęki. Nie zważał na buty, bo nadzieja zarobku dodała chłopcu otuchy, skoczył co sił na Pragę i w jednej chwili był już przy robocie; przyjęto go chętnie, bo brakowało rąk, je-

go więc, choć niezbyt silne, musiały starczyć za inne. Dźwigał bryły Jodu, zarzucał je na wóz lub dobywał z wody, brał się nawet do siekiery, to też, mimo wiatrem podszytej kurtki, nie czuł zimna.

— Pracuję w pocie czoła na chleb — myślał i był zadowolony, choć głodny.

Dotąd, żebrząc, dostawał, prócz groszy, kawałki chleba, dziś nie jadł nic od rana.

— Trzeba sobie radzić inaczej, trzeba znaleźć stałe zajęcie i stałe pożywienie — myślał, pracując jednak wytrwale do wieczora. Dopiero, gdy ostatnie wozy odjechały ku miastu, a dozorca roboty dał mu złotówkę,

uczul, jak bardzo byl zmeczony. Bylby kupil bulke w sklepiu
na zjezdzie, ale
przyszlo mu na mysl, ze Ludwisia nic moze nie uzebrala,
ze wiec jego
pieniadze za nich troje starczy musza ojcu.
Nie poszedl wprost do domu, tylko skrecil z drogi, zeby
odwiedzil braciszka.
Mleczarnie zastał juz zamknieta, Magda jednak obiecala
zaprowadzic go do
maleńkiego, byle jej pomogl obrac kartofle na kolacye.
Przysiadl na stoleczku
około dziewczki, i pracowali na wyścigi, ale Henrysia kartofel
zawsze pierwszy
wpadl do miski z woda, Magda nie mogla mu nadazyć. Poszli
potem z latarnia do
obory, maleńki spal, owiniety w worek, bylo mu cieplo, wiec
tez wyciagnal sie,
jak kociak na przypiecku.

Henrys pocałował leciutko braciszka w czoło.
— Jak ja sie ciesze, ze ci tu tak dobrze — szepnal mu do
uszka,
podziekował Magdzie i bardzo glodny biegł co tchu do
domu, bo .mial nadzieje,
ze siostry poczestuja go chlebem, wyzebrany przez
Ludwinię. Nie dostaly
jednak ani okrucza, kromek bylo malo, wystarczyly z
bieda na kolacye dla
dziewczynek. Wstydziły sie, ze zapomnialy o biednym
bracie, on tez z

trudnością wstrzymywał łzy. Może żałował, że nie żebrze,
może stracił już
ochotę do pracy? O, wcale nie! Henryś był dzielnym
człowiekiem, a dzielny
człowiek nie zniechęca się łatwo, nawet kiedy jest głodny i
idzie spać bez
kolacyi.

Było jeszcze wcześniej, ojciec, rad złotówce, którą mu oddał
syn, poszedł do
szynku, a Anusia, dumna ze swej roboty, namówiła
rodzeństwo, żeby zobaczyło,
jakie stroje mieć będą jej lalki. Ruszyło więc całe towarzystwo
po schodach do
stancyjki krawca, pan Łaciński siedział, jak zawsze, przy stole
i szył pilnie,
przywitał życzliwie gromadkę Skowroniąt, bo był kontent z
Anusinej roboty, a
matka pana majstra przysunęła im ławkę do pieca.
— Zamiast marznąć w swojej suterynie — powiedziała —
moglibyście tu siedzieć i
drzeć pierze, jest dopiero siódma, pracujcie pilnie do
dziewiątej, to znajdzie
się dla każdego bułka, a jutro może kilka gorących kartofli na
kolację.

Jakże ochotnie dzieci zabrały się do robo-

ty! wołały przecież grzać plecy pod piecem, niż dygotać w
zimnej suterynie.

Wprzód jednak obejrzały galganki Anusi, śliczną czerwoną
spódniczkę dla

Herodowej, drugą całą jedwabną, a tak maleńką, że paluszek Rózi nie mógł się w nią zmieścić. Pani Łacińska wetknęła każdemu z malców garstkę pierza w rękę, obsiedli piec dookoła, nawet Rózia nie próżnowała, zbierała szypułki z ziemi i wrzucała je do pudełka. Izdebka krawca wyglądała, jak ul, w którym każda pszczoła śpieszy się z robotą; majster szył pilnie, aż świstała igła i nitka, dzieci darły pierze na wyścigi, a stara pani Agata cerowała bieliznę i opowiadała historye z czasów swojej młodości. Opowiadała, że nazywano ją kiedyś wesołą Agatką, bo chętnie śpiewała przy robocie, a roboty miała zawsze dużo. Już od siódmego roku musiała szyć, bardzo też prędko nauczyła się stebnować prunelowe kamaszki, do których ojciec, szewc z rzemiosła, dopasowywał podeszwy. Tak było aż do osiemnastego roku życia, kiedy poszła za męża. Ożenił się z nią Michał Łaciński, także szewc, znowu więc stebnowała kamaszki, a teraz w dzień stebnuje synowi szwy u żakietów, bo oczy ma dobre; nie potrzebuje nawet używać okularów. — Tylko popuchnięte palce przeszkadzają w robocie — mówiła pani Agata, patrząc coraz życzliwiej na Skowronięta, które zdziwiły się

bardzo, kiedy blaszany, w piękne róże malowany zegar wybił dziesiątą.

Pan majster wstał od stołu, wyprostował zgarbione długim siedzeniem plecy, pani

Agata dała dzieciom po bułce, i całe to towarzystwo rozeszło się na spoczynek.

Henryś nie usnął głodny, bo w kieszeni jego kurtki znalazły się wszystkie cztery

bułki. Nie rozumiem tylko, jakim stało się to sposobem, dziewczynki wprawdzie

szeptaly coś na schodach, potem Różia skradała się do brata, wreszcie Henryś był

bardzo zdziwiony i całował siostry, ale tego opo-Aviadać już nie będę.

Odtąd Różia chodziła codzien z Anusią do krawca i uczyła się drzeć pierze,

maleńki odzyskiwał zdrowie w oborze, a najstarszy

Skowronek promieniał radością.

Był spokojny o troje rodzeństwa, dla siebie zaś zawsze znalazł zarobek, nie

zaspał też nigdy i regularnie o piątej wyrzucał gnój z obory, często nawet

pomógł Magdzie w roznoszeniu mleka. Biedna Ludwinia musiała wprawdzie jeszcze

żebrac za wszystkich, ale Henryś pocieszał się myślą, że kiedyś i dla niej

znajdzie ratunek. Tymczasem zaś przyuczał siostry do czystości, kazał im się myć

każdego rana, a że Anusia dostała od pani Agaty stary grzebień, więc i włosy

dziewczynek wyglądały teraz daleko porządniej.

W szkole powodziło się też rodzeństwu lepiej, niż wprzódy.

Henryś postanowił

być

w przyszłości nauczycielem biednych dzieci, uważał więc pilnie na to, co mówił profesor, żeby kiedyś uczyć tego samego innych, uczyć, jak uczył Pestalozzi.

Anusia zasługiwała na pochwały, bo odkąd przestała kaszlać, i wypoczęły jej

nogi, w izdebce Łacińskich chętniej zaglądała do elementarza.

Najulubieńszem

jednak zajęciem Anusi było szycie, już wcale nieźle pomagała krawcowi, a oprócz

tego stroiła coraz ładniejsze lalki.

Lalki, tak, były to prawdziwe lalki, nie tak piękne wprawdzie, jak te, które

widujecie w bogatych sklepach, ale też za to o wiele tańsze.

Pani Marta pokazała

Anusi, jak trzeba uszyć korpus, żeby rączki odstawały od ramion, a nóżki

poruszały się swobodnie, pan Łaciński kupił trzy maleńkie główki z włosami, jak

len, i trzy z czarną czuprynką. Nie były to prawdziwe włosy, tylko pomalowana

porcelana, ale w każdym razie lalki wyglądały pięknie w nowiutkich sukienkach i

w trzewiczkach, uszytych z czarnej rękawiczki. Henryś znalazł ją na śmietniku w

zajeździe, w którym od kilkunastu dni pomagał obsługiwać gości, a który szumnie

nazywano hotelem. Przed świętami Bożego Narodzenia przyjeżdża do Warszawy dużo

osób po sprawunki i po dzieci ze szkół, nie brakowało więc Skowronkowi roboty.

Czyścił buty, nosił pod numery ubranie gości, biegał dla nich po papierosy lub po dorożkę, że zaś pełnił chętnie

wszystko, co mu polecono, niejedną złotówkę zarobił od przyjezdnych państwa, a

obiad dostawał codziennie w hotelowej restauracji.

Na pracy i oszczędzaniu groszy zbiegło tak dzieciom kilka tygodni. Nie

spostreżli tego, bo byli szczęśliwi zmianą, jaka zaszła w ich życiu. Wyrobnik

nie zwrócił wcale na nią uwagi, spędzał czas w szynku i nie pytał, skąd Henryś

bierze pieniądze, kontent, że co wieczór oddawano mu bez narzekania kilka

miedziaków na wódkę.

Było już tylko trzy dni do wili, Anusia upakowała lalki w pudełko od

papierosów, które brat przyniósł jej z zajazdu.

— Nie za Żelazną bramę zanieś swój towar, tam sprzedają piękne, duże lalki,

lepiej zabierz swoje na Stare miasto — radziła Henrysiowi pani Agata, i rada

okazała się dobrą, bo uszczęśliwiony chłopak wrócił nazajutrz z sześcioma

złotówkami, co, dodane do pieniędzy, jakie sam uzbierał, stanowiło prawdziwy

skarb. Z takim zapasem można już myśleć o wesolem spędzeniu świąt Bożego

Narodzenia.

W wigilię nie poszły dzieci do szkoły, Henryś miał więcej czasu, niż zwykle, to też, wyrzuciwszy gnój, pomógł Magdzie w umyciu statków, a raz po raz zabiegał do obory, żeby się nacieszyć maleńkim, którego twarzyczka była rumiana i wcale już nie żółta. Właśnie upominał się o nową robotę, kiedy weszła do kuchni pani

Broska i darowała mu stare ubranie syna na kolendę. Stare, ale jakie jeszcze porządne! Tylko na łokciach było połatane, zresztą wyglądało jakby prosto ze sklepu, zwłaszcza kurtka, która się zapinała na świecące guziki. Szczęśliwy, ucałował ręce dobrej pani i pobiegł prosto do pralni, gdzie wczoraj uprał koszule, które Anusia wynaprawiała na święta. Dobra Anusia uszyła dla siebie i sióstr krezki, a dla Henrosia i dla ojca śliczne krawaty z gałganków, ale była to niespodzianka, o której brat miał się dowiedzieć wieczorem.

Teraz paradował przez miasto w nowym ubraniu, stare pani Józefowa obiecała mu wyprać po świętach. Stawał przed wielkimi szybami sklepów i przyglądał się sobie z zadowoleniem. Potem poszedł na targ po sprawunki świąteczne, bo

postanowił rodzinie sprawić wigilijną kolację, do której opłatki przyniósł wczoraj od księdza wikarego. Leżały pod siennikiem, zawinięte w papier, a on liczył tymczasem, ile kosztować będą węgle i kartofle. Magda darowała maleńkiemu stary fartuch samodziałowy na kołderkę, mógł więc zabrać worek, żeby przynieść w nim ziemniaki i węgle, których starczyć miało do ogrzania suteryny przez wszystkie dni świąt. Rachunek wypadł dobrze, Henryś kupił więc jeszcze trochę soli, garnek i perkalową chustkę w czerwone kwiaty. Obładowany spr-

wunkami, biegł do domu, bo pilno mu było pokazać się siostronom w nowym ubraniu. Oglądały go też na wszystkie strony, garnitur ze świecącymi guzikami podobał się bardzo dziewczynkom, one także miały się czem pochwalić przed bratem: Anusia dostała pantofle, za ciasne na nogi pani Agaty, a Różia starą spódniczkę, tak długą, że wlokła się za nią po podłodze, co wprowadziło wszystkich w doskonały humor. Najwspanialej jednak wystąpiła Ludwinia. Dawno nie wspominałam o dzielnej dziewczynce, która nie skarżyła się nigdy na swoje kalectwo, choć marzyła na

ulicy, i oddawała połowę wyżebranych pieniędzy Anusi, żeby ojciec nie zabronił jej chodzić do krawca na naukę. Zdarzyło się raz, że Ludwinia spotkała dobrego doktora, który zwrócił uwagę na jej chore oczy. Kazał przychodzić do siebie o oznaczonej godzinie i, choć w poczekalni dziewczynka zastawała dużo osób, on znalazł zawsze czas, żeby posmarować spuchnięte powieki maścią i dać dziecku łyżkę tranu, razem z kawałkiem chleba. Trwała ta kuracya przeszło trzy tygodnie, Ludwinia nie zawiązywała już oczu gałganem, bo czuła się dużo zdrowszą i mogła swobodnie chodzić po mieście. Doktor pomyślał też o ciepłym ubraniu dla swojej pacjentki, dostała od niego na kolendę trzewiki, czapczkę i ciepłą sukienkę, a gdy zupełnie wyzdrowieje,

pani doktorowa zaprowadzi Ludwinię do szwalni i będzie się tam uczyła szyc, jak Anusia.

Skowronięta szczebiotwały tego dnia gorzej, niż prawdziwe ptaszki, obejrzano sprawunki Henrysia i postanowiono zabrać się do gotowania wieczery. Pani Agata pożyczyła łopatkę gorących węgli, żeby piec w suterenie, którego nie opalano tej

zimy, rozgrzał się prędzej. Henryś i Anusia wyplukali kartofle i wsypali je do

garnku, do własnego garnka!

Nakryto potem deskę od okna kawałkiem papieru zamiast obrusu, na papierze

położyła Anusia opłatki i pieniądze, zarobione ze sprzedaży lalek, Henryś

dołożył do nich własne czterdzieści groszy i czerwoną chustkę, którą kupił dziś na targu.

W piecu palił się tymczasem wesoły ogień, kartofle zaczynały już mięknąć i

nabierać wybornego smaku, dzieci były tak zajęte, że nie zwróciły uwagi na ojca.

A jednak wyrobnik stał już oddawna w drzwiach suteryny, słyszał ich rozmowę i od

czasu do czasu obcierał oczy rękawem surduta.

— Tatuś! — zawołał nagle Henryś.

Dziewczynki zbiły się w gromadkę pod ścianą, wyglądały, jak spłoszone kuropatwy,

tylko nasz bohater nie stracił odwagi. Podszedł do ojca, wziął go za rękę i

podprowadził do okna.

— Ta chustka i czterdzieści groszy to moja kolenda dla ciebie, a sześć złotych zarobiła

Anusia za lalki, ona także uszyła krawat. Weź to wszystko od swoich dzieci, weź,

tatusiu!— mówił wzruszony Henryś.

— I nie każ nam żebrać! — zawołała Ludwinia — my chcemy pracować — powtarzały obie z Anusią.

Nawet Rózia czepiała się kolan ojca i prosiła:

— Będę placować, będę dała pierze, będę syła lalki, tatusiu! Robotnik stał, otoczony dziećmi, po rumieńcu, jaki oblał mu twarz, można było

poznać, że jest wzruszony, że się wstydzi złego nałogu.

To, co widział, było dla niego zupełną niespodzianką: jakim sposobem dzieci,

zostawione bez żadnej opieki, mogły zarobić tyle pieniędzy, kto ich nauczył

płacić dobrem za złe?

Wziął z okna opłatek i zwrócił się z nim do Henrysia, ale, nim mówić zaczął, łzy

zalały mu twarz.

— Dzieci, moje biedne, dobre dzieci! — wołał, tuląc do siebie sieroty. Pieściły

go, a on opowiadał im o swym żalu za zmarłą żoną, o tem, jak wyniszczył się na

jej chorobę, a nie uratował biedaczki, pytał, skąd Henrysiowi przyszła myśl

wysyłania sióstr na naukę i zarabiania samemu.

Rozmawiano długo, bardzo długo, Rózia wdrapała się na kolana ojca, dwie starsze

dziewczynki stały przy nim, podczas gdy Henryś

opowiedział historię arkusza i co z niego wyczytał o Pestalozzim.

— A teraz zaśpiewamy tatusiowi kolendę, której nas nauczyła pani Agata —

zawołała Różia, zeskakując z kolan ojca.

Stanęli rzędem wszyscy czworo, pierwszy Henryś zaintonował:

W żłobie leży, któż pobieży

Kolendować małemu?

Jezusowi Chrystusowi,

Dziś nam narodzonemu.

Wyrobnik zasłonił twarz rękami i szlochał, potem znów przytulił dzieci do

piersi, obiecując zabrać je jutro do kościoła i odwiedzić małego w jego

żłobku.

Zaczynało się dla Skowroniąt nowe życie.

— Słyszysz, matka — mówił tymczasem pan Łaciński —
nasze Skowronki śpiewają
kolędę.

— Niech je Bóg błogosławi, pracą uratowały siebie i ojca od grzechu